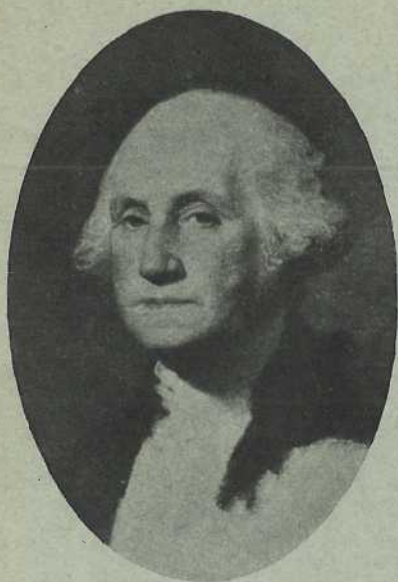


*Jerzy
Waszyngton*



1732

1932

~~Inw. 1160.
VIII. 3. 98~~

1732 — 1932

JERZY WASZYNGTON

Opracował
KAROL KOŹMIŃSKI

92 (Waszyngton Jerzy)

WARSZAWA — 1932

Wydane przez Centralny Komitet Uczczenia w Polsce
200-ej Rocznicy Urodzin Jerzego Waszyngtona

Drukarnia
Zakładów
Wydawniczych
M. Arct. S. A.
w Warszawie

BIBLIOTEKA
WYDZ.
ARCHITEKTURY

215
ZAKUPIONE ZE ZBIORÓW
Ś. p. prof. M. LALEWICZA

Znakomity nasz historyk Tadeusz Korzon w jednym z dzieł swych powiada, iż Ameryka dwukrotnie została odsłonięta dla oczu Europy. Stało się to po raz pierwszy, gdy Krzysztof Kolumb w r. 1492 odkrył ląd amerykański i — w trzy blisko potem stulecia, gdy Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, stworzone przez Jerzego Waszyngtona (George Washington), weszły do rodziny narodów cywilizowanych świata.

Wiemy wszyscy dobrze, jaką potęgą jest ojczyzna Waszyngtona, dziś — w rocznicę dwóchsetną narodzin tego wielkiego człowieka-obywatela — zobaczymy choćby pokrótce, czem kraj ten był przed dwoma wiekami. I przypomnijmy choćby tylko szczegóły najważniejsze z życia wodza i męża stanu, który, służąc swemu narodowi całym swym życiem, wznosił gwiazdzisty sztandar amerykański tak wysoko, jak tylko ręka ludzka sięgnąć zdoła.

Dnia 22 lutego r. 1732 w Virginia (*Wirdżinja*), jednej z kolonij angielskich, rozłożonych na zachodnim wybrzeżu Ameryki Północnej, w zamożnym domu obywatelstwa ziemskich Augustyna Waszyngtona i Marji z domu Ball (*Bol*) urodził się trzeci z kolei syn, ochrzczony Jerzym. W tym czasie kraj ojczysty Waszyngtona wraz z całym szeregiem podobnych sobie kolonij angielskich Ameryki, jak Nowa Anglja (New England), New Jersey (*Nju Dżersyj*), Pennsylvania (*Pensylwenja*), Maryland

i Carolina (*Karolina*), zażywał spokoju i cieszył się coraz piękniejszym rozkwitem. W roku 1713 bowiem ustały długotrwałe wojny, które w obronie swego amerykańskiego stanu posiadania zmuszona była toczyć Anglja z rosnącym w owym czasie w Ameryce wpływem francuskim, a kolonizująca wciąż nowe przestrzenie urodzajnej ziemi ludność tych osad, wolna od podatków na rzecz metropolji, bogaciła się bardzo szybko.

Jerzy Waszyngton, wychowywany nadzwyczaj starannie przez matkę, szybko zdobywa średnie wykształcenie i w młodym bardzo wieku, jako chłopiec 15-letni rusza w świat. Jego opiekunem i dalszym wychowawcą jest odtąd wypróbowany przyjaciel rodziny lord Fairfax (*Fejrfeks*), który z miejsca bierze go w twardą szkołę życia. Tą szkołą były lasy dziewicze i puszcze Pensylwanji, gdzie młody Waszyngton pracował jako geometra, poznając szerokie przestrzenie swej przyszłej, wielkiej ojczyzny, hartując w obcowaniu z przyrodą na stal swą duszę, swe gorące serce i czysty, jak woda kryniczna charakter. Po odbyciu tej ciężkiej, ale jakże cennej w całym jego życiu późniejszym praktyki, Waszyngton osiadł w otrzymanej od rodziców posiadłości Mount Vernon (*Maunt Wernon*), zwracając na siebie oczy sąsiadów: ledwie bowiem osiągnął pełnoletność, gdy wybrany został już naczelnikiem okręgu (czemś, jeśli o naszych stosunkach mowa, w rodzaju starosty powiatowego). Ale Waszyngton niedługo mógł się cieszyć spokojnem życiem zamożnego obywatela ziemskiego. Oto w tym czasie wobec niepokojących ruchów wojsk francuskich na pograniczu Kanady kolonje zaalarmowane zostały przez rząd angielski i każda z nich wesprzeć musiała swą milicją oddziały kolonialnych wojsk Wielkiej Brytanji. To prawda, że żołnierzy milicji, obdartych i często bosych, trudno było nazwać wojskiem. Tem nie-

mniej jednak były to przecie kadry przyszłej armji przyszłego niepodległego państwa wolnej Ameryki. Na czele jednego z takich oddziałów dnia 30 października 1753 r. stanął oficer nie posiadający wówczas żadnego jeszcze wprawdzie wykształcenia wojskowego, ale oficer ten został później generałem i wodzem naczelnym, a buławę swą zdobył w polu, w ogniu walki za kraj. Był nim Jerzy Waszyngton. W tym czasie też, gdy Waszyngton na czele swych biednych żołnierzy dobył szpady w obronie angielskich kolonij, przez ziemie te, przez serca obywateli, przebiegnie jakby iskra elektryczna. Ziemie te poczuły się wolnemi i zapragnęły stworzyć unję podobną do tej, jaką za Jagiellonów stworzył naród polski i litewski.

Major Waszyngton, początkowo dowódca pułku milicji wirginijskiej, awansował szybko, osiągając w przeciągu lat dwóch stopień pułkownika. Ten piękny, wysoki na 6 stóp młodzieniec był przecieź nieustraszonym żołnierzem. Należąc później do sztabu naczelnego wodza, generała Braddock (*Bredok*), nie oszczędzał się bynajmniej, walczył jak prosty strzelec i rzucał się zawsze w najgorętszy wir walki. „Kule się go nie imają“, powiedział o nim stary wódz sprzymierzonego plemienia Indjan, gdy dnia 9 lipca 1755 r. w bitwie pod Monongahela Francuzi dwa konie pod nim ubili, kiedy 4 kule przeszły jego płaszcz i kapelusz. Po bitwie tej działania wojenne, prowadzone ze zmiennem szczęściem, trwały jeszcze przez cały niemal rok następny. Gdy jednak ustały, okryty chwałą dwudziestoparoletni pułkownik wraca znów na zagon ojczysty i w tym czasie poznaje swą dożgonną, najwierniejszą towarzyszkę życia, Martę Dandrige Custis (*Dendridż Kustis*). Dnia 6 stycznia 1759 r. odbył się obrzęd zaślubin. Ale młody bohater zakładający w dniu tym ognisko własne nie przeczuwał pewnie wówczas, że niemal do zgonu w domu swym bę-

dzie gościem jeno. Już w owym czasie nie należy przecie do siebie. Należy do narodu i do kraju, choć nie wie jeszcze o tem z pewnością. Wydaje mu się, być może, iż, jak dotąd, spełnił tylko swój obowiązek. Jest zawsze pełen skromności a miarą tej skromności może być fakt następujący: oto pewnego dnia parlament wirginijski udzielił Waszyngtonowi w związku z jego udziałem w wojnie pochwały publicznej. Gdy Waszyngton, wysłuchawszy słów pochwały, stał, nie znajdując słów podziękki, wówczas przewodniczący izby rzekł tych kilka słów, będących najwymowniejszem bodaj określeniem charakteru Waszyngtona: „Siadaj, pułkowniku. Pańska skromność równa się pańskiej dzielności, a tej nie jest w stanie wyrazić żadna mowa ludzka“...

Waszyngton jest sławny. Ale wojna, która przyniosła mu wieniec wawrzynu, sprawiła też głębokie przeobrażenie w umysłach obywateli kolonij. Poczuli się oni nietylko pewną wspólnotą wewnętrzną mieszkańców sąsiadujących ze sobą ziem. Oto w ogniu walki poznali oni także swą siłę istotną. Spostrzegli, iż wojska kolonjalne angielskie mogły o tyle tylko zwyciężać żołnierzy francuskich, o ile broń angielską wsparły strzelby milicji obywatelskiej. Obudziło się więc w sercach amerykańskich żołnierzy, prowadzonych przez Waszyngtona, nietylko dumne, młode przeświadczenie o wyższości nad Francuzami, którzy nieraz ustąpić musieli pola, ale i przeświadczenie o niezależności od Anglii. Luźno występujący dotychczas obywatele kolonij w obozie wojсковym, w szeregach oddziału, poczuli się ciałem zwarem i całością odrębną.

A tymczasem w starej Anglii o czemże wówczas myślano? Długa i uporczywa wojna kolonjalna spowodowała olbrzymi dług państwa. Skarb był pusty. Zdecydowano więc, że dług ten miały zapłacić kolonje. W ro-

ku 1764 parlament angielski uchwała specjalne dla kolonij podatki od wina i cukru. Ale tu kolonje amerykańskie protestują. Opierają się one na swoistej zasadzie, od wieków w umysłach angielskich panującej, iż podatki uchylać mogą jedynie płatnicy, jedynie ci obywatele angielscy, których podatek ten dotyczy, a przecież ówcześni koloniści angielscy w Ameryce byli pod tym względem obywatelami o pełni praw. Prawa te poręczył jeszcze w r. 1606 i 1609 król Jakób I (James I). A gdy Anglja, widząc opór zdecydowany kolonij, jako jedyny podatek, już dla prestiżu raczej, pragnie zachować monopol od herbaty (który jest w dodatku fikcją, bo jednocześnie o sumę podatku obniżona zostaje cena towaru), Waszyngton tak stanowisko społeczeństwa kolonij określił: „Co odrzucamy? Czy może owe 3 grosze podatku od funta herbaty? Nie, byłoby to śmieszne. My, jako ludzie wolni, odrzucamy p r a w o uchwalania przez parlament angielski takich podatków!“ Tak, w stanowisku Anglii Waszyngton dojrzał zamach na wolność obywateli niegdyś angielskich, zamieszkałych na ziemi wolnej i twierdził, iż zbiorowisko tych ludzi wolnych wobec grożącego im zamachu musi zająć stanowisko obronne. A według słów Waszyngtona w liście do jednego z przyjaciół „nikt nie powinien mieć żadnych skrupułów, ani nie powinien wahać się jednej chwili, by użyć oręża w obronie skarbu tej ceny i tej świętości, jakim jest wolność“!...

Nadszedł rok 1770. Burzę czuło się już w powietrzu. W tym czasie Waszyngton w dolinie rzeki Ohio (*Ohajo*) dopilnowywał rozdawnictwa działek obiecanych jego żołnierzom. Ale mimo iż panował jeszcze w zasadzie spokój — mnożyć się już poczynały rezolucje niepodległości takie, jak Andrzeja Barnaby, który wołał, iż kolonje są państwami niepodległymi, jak Jakóba Otis, jak

Jerzego Mason, podobnej treści. Było to już po krwawej masakrze marcowej w Bostonie i po krwawo stłumionym powstaniu w Karolinie północnej. W dwa lata potem, w roku 1772 garść śmiałków pali okręt celny angielski na Rhode Island (*Rod Ajlend*). W rok potem, jako odpowiedź na zamiar władz centralnych deportowania do więzienia angielskiego tych śmiałków, dnia 16 grudnia ludność Bostonu na znak protestu wrzuca do morza 340 skrzyń z herbatą i w tym samym czasie powstaje w Bostonie pierwszy komitet rewolucyjny. Na jego czele staje sławny potem na świat cały Tomasz Jefferson (*Dżefferson*), przyszły minister spraw zagranicznych wolnej Ameryki. Oburzeni Anglicy, chcąc ukarać kolonje, wiosną r. 1774 zamknęli port w Bostonie; miało to jednak tylko ten skutek, że kolonje północne podały sobie rękę z kolonjami południowymi. Na wzór Bostonu w sierpniu tego roku podobny komitet rewolucyjny z Waszyngtonem na czele powstał w Wirginji i oba te ciała, do których wprędce przymknęły przedstawicielstwa innych kolonij — rewolucyjnych stanów, uchwały zjazd wspólny w Philadelphia (*Filadelfja*). Jako dzień rozpoczęcia obrad wyznaczono datę 5 września roku 1774.

Kości zostały rzucone. Pułkownik Waszyngton w ciepły wieczór sierpniowy pożegnać musiał ukochaną żonę i swoje piękne Mount Vernon, ruszając konno w otoczeniu przyjaciół Henry i Pendletona w daleką drogę. Droga ta zaprowadzić go miała na stanowisko pierwszego prezydenta Stanów...

Ale ten przyszły wielki mąż stanu, twórca państwa i pierwszy obywatel swego narodu był w tym czasie jeszcze przedewszystkiem żołnierzem. Jest, jak zawsze, spokojny i zrównoważony i widzi wszystko jasno, zawsze jaśniej niż inni. Jasnym jest więc przedewszystkiem dla

niego to, że „Anglicy nie ustąpią, że zerwać z nimi należy wszelkie stosunki“. Istotnie — w owym czasie oręż już tylko rozstrzygnąć mógł ten spór. W roku 1775 sytuacja stała się naprężona do tego stopnia, iż nikt nie wątpił, że starcie starej Anglii z młodą Ameryką nastąpić musi przy pierwszej prowokacji. Posiłki angielskie rosły, ale przecież i Stany — dawne kolonje — były już w tej chwili mrowiskiem uzbrojonych żołnierzy. Żołnierze ci nie mieli często nic w rękę prócz myśliwskiej strzelby, nie byli — armją, ale każdy z nich wiedział, że ma wodza. Tym wodzem był Jerzy Waszyngton. Na propozycję Adamsa, późniejszego kolejnego prezydenta Stanów, Kongres rewolucyjny w dn. 19 czerwca 1775 r. mianował Waszyngtona generałem, składając w jego ręce dowództwo naczelne.

Punktem zbornym dla armji Stanów wyznaczono Cambridge (*Kejmbriż*). Do tego obozu, przypominającego raczej obóz myśliwski, niż wojskowy, wódz naczelny przybywa w dniu 3 lipca. Jest, jak zawsze, energiczny i spokojny, niewzruszony nigdy w swej pewności siebie. Jakże inne oblicze posiadała jego armja! Nie mówimy tu o tem, że żołnierze nie posiadali płaszczy, czy butów. Bosi żołnierze, poprowadzeni do walki przez genjusz wodza, odnieść mogą zwycięstwo. Ale wojsko Stanów nie posiadało przedewszystkiem żadnej dyscypliny wewnętrznej, nie znało zasad walki, nie miało organizacji. Były to oddziały najemników, którym — w tej chwili kończyły się właśnie kontrakty, żołd zalegał. Można było przypuścić, iż żołnierze w każdej chwili rzucą broń i pójdą do domów. Byli głodni. Nie było nikogo jeszcze, ktoby zadbał o to, by dowieziono im żywności. A z rozpoczęciem walki nie było też nikogo, kto miałby opatrywać ich rany...

Tem wszystkiem dla wojska miał zostać, musiał

zostać wódz naczelny, Jerzy Waszyngton. Miał jeden atut w rękę: czuł, że lgną doń serca żołnierzy, że jeśli poprowadzi ich w bój, w bój zwycięski, da im coś, co każe z zaciśniętymi zębami znosić głód i niedostatek, da im rozkosz zwycięstwa. I pierwsze starcie było zwycięskie: wzgórze, bronione w okolicy Bostonu przez pułki angielskie Montgomery'ego, zostają zdobyte. W roku następnym, dnia 17 marca r. 1776, Anglicy ewakuują Boston. Siły Waszyngtona rosą, żagiew wojny zapala cały kraj i w pamiętny dzień 4 lipca, obecnie święto narodowe Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, wszystkie Stany ówczesne oprócz Nowego Jorku (New York), zajętego przez armję angielską, ogłaszają niepodległość. Oto pierwsze zdanie wiekopomnej deklaracji niepodległościowej, uchwalonej przez Kongres jednogłośnie, której twórcami są Jefferson, Adams, Franklin i Livingston: „Gdy w toku spraw ludzkich staje się rzeczą niezbędną, by naród rozluźnił więzy polityczne wiążące go z innym narodem, by jako niepodległy i równy pośród innych państw na ziemi zajął stanowisko przeznaczone mu przez prawa Natury i Boga Natury — szacunek należny opinji ludzkości wymaga, by naród ten określił przyczyny zmuszające go do oddzielenia się“...

Ale, jak powiedzieliśmy, na ziemi amerykańskiej, w Nowym Jorku, w jednym z punktów najważniejszych stał jeszcze żołnierz angielski. Tę twierdzę angielską zdobyć trzeba było za wszelką cenę, trzeba było ukoronować w ten sposób dumne dzieło młodej, zwycięskiej rewolucji. I... dzień 27 sierpnia, który ma być dniem decydującej rozprawy, staje się dniem klęski. Skutkiem niesubordynacji generałów armja Waszyngtona zostaje pobita, w jednej chwili rozpręga się wszystko, z pola bitwy pod Long Island ucieka tłum przerażonych żołnierzy.

Następuje najtrudniejszy, przełomowy, decydujący o późniejszym zwycięstwie, które kiedyś przyjsć musi, okres walk. Jeszcze nigdy tak samotnym, tak opuszczonym nie czuł się Waszyngton, jak wtedy na przełomie roku 1776 i 1777, kiedy z resztkami swej armji cofnąć się musiał za rzekę Delaware (*Deleter*).

Kongres, który opuścił Filadelfję, oparł się w dalekiem Baltimore (*Boltimor*). Zapanowała zima, mroźna i śnieżna. Pozostała w rękę wodza garść żołnierzy przemarznięta była do szpiku kości i głodna. Ale to są — zmienne koleje wojny. To trzeba było przetrzymać i należało zwyciężyć.

W tym przełomowym czasie krwawiącej o swą wolność Ameryce przybywa pomoc z dalekiego, zamorskiego kraju, który pokaże też, iż także za wolność walczyć i umierać potrafi. Jeszcze w połowie r. 1776 na ziemi amerykańskiej stanął Tadeusz Kościuszko, który, zaangażowany do wojska amerykańskiego jako pułkownik inżynierji, natychmiast wyróżnił się w obronie Filadelfji i z kolei wślawił się, jako twórca umocnień m. Saratogi i fortecy West Point. Dziś Kościuszko, zwany „ojcem artylerji amerykańskiej“, jest jednym z najpopularniejszych bohaterów wojny o Niepodległość.

Latem roku następnego przybywa do Ameryki konfederat barski, Kazimierz Pułaski, który też ledwie na ziemi amerykańskiej stanął, już odznacza się jak Kościuszko pod Filadelfją, później zaś, w dniach 8—11 września r. 1777 szeregiem brawurowo przeprowadzonych nad strumieniem Brandywine (*Brendylajn*) ataków ocalił armję Waszyngtona wraz z wodzem naczelnym od niechybnej zagłady. A naród amerykański, który umie szanować swych bohaterów i który zwie Pułaskiego „ojcem swej kawalerji“, czci aż po dzień dzisiejszy datę jego skonu: dzień 9 października, w którym

Pułaski w r. 1779 poległ pod Savannah, jest oficjalnym świętem narodowym w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Ale Kościuszko i Pułaski, dziś w Ameryce tak sławni, nie wyczerpują bynajmniej długiego szeregu Polaków, którzy w owym czasie pośpieszyli do Ameryki, by za jej wolność walczyć. W obozie amerykańskim są jeszcze: kapitan Jan Mieszkowski i kapitan Jan Zieliński i porucznicy Grabowski, Uzdowski, Kossowski, Litomski i wielu, wielu innych oficerów i szeregowych...

I oto zwycięstwo, w najcięższej, w najmniej oczekiwanej chwili przyszło szybkimi krokami. W Boże Narodzenie r. 1776 Waszyngton, zebrawszy 6 tys. ludzi, pod osłoną nocy przeprawił się przez rzekę Delaware, spadając jak orzeł na oddziały angielskie. W mgnieniu oka zdobywa Princeton i do końca stycznia odzyskuje wszystkie utracone w sierpniu na tym teatrze wojny pozycje. W tym samym jeszcze roku na północnym teatrze wojny, gdzie dowodzi generał Gates (*Gejts*) i gdzie do zwycięstwa, jak to już wspomnieliśmy, znakomicie przyczynia się budową umocnień połowych Kościuszko, dnia 17 października pod Saratogą kapituluje cała armja angielska.

A przecież sprawa nie jest skończona. Anglicy trzymają się nie tylko w New Yorku i na południu i zdobywają, przejściowo wprawdzie, Filadelfję. Gorszem jest — rzecz mimo zwycięstw dziwna — zniechęcenie we własnych szeregach Waszyngtona. Panuje w nich przecież wciąż jeszcze straszliwy brak zaopatrzenia, panoszy się, mimo już dyktatorskich jego pełnomocnictw, rosnąca wciąż dezercja, wybucha — co w tem najgorsze — opozycja własnego jego sztabu. Ale i to wszystko trzeba zwyciężyć. Szale wojny chwiejają się. Trzeba wierzyć w jedno: w triumf sprawy.

Jeszcze jeden rok wojny. Gwiazda Waszyngtona jaśnieje coraz silniejszym blaskiem. To nic, że żołnierze wciąż jeszcze niepłatni. Ci żołnierze wywalczyli w długich, krwawych zmaganiach państwo własne a państwo to zdobywa sobie uznanie w krajach starej Europy. Jeszcze w roku Saratogi uznała Amerykę Francja i ona to wraz z Polską pierwsza z państw europejskich podała silną dłoń pomocną młodej Rzeczypospolitej amerykańskiej. Silna flota francuska wojenna popłynęła przez Atlantyk do wybrzeży amerykańskich. Już pod Savannah, gdzie w armji Franklina nasz Pułaski nieśmiertelną okrył się chwałą, jako sprzymierzeńcy po stronie amerykańskiej walczyli żołnierze admirała d'Estaingue (*d'Esteg*), dnia 10 lipca 1780, przybyła do Newport nowa, silna eskadra francuska pod wodzą Rochambeau (*Roszambo*). Aż przyszedł dzień triumfu. Jesienią 1781 r. dnia 19 października w bitwie pod Yorktown (*Jorktaun*), w ojczystej Waszyngtona Wirginji, armja angielska, otoczona ze wszech stron przez wojska Waszyngtona i pomocnicze oddziały francuskie Lafayette'a (*Lafajeta*), kapituluje. Wiosną r. 1782 ustają działania wojenne i podpisane zostają w jakiś czas potem preliminarja pokojowe. Jedynie New York ewakuowany został przez Anglików nieco później, dnia 25 listopada r. 1783, po wykonaniu wszystkich warunków. Ostatni żołnierz nieprzyjacielski opuścił w tym dniu wolną już na zawsze ziemię amerykańską.

Wojna została skończona — Waszyngton — wódz naczelny pożegnał się z wojskiem. Ale nie dość było przecie wygrać wojnę; zkolei rzeczy należało stworzyć państwo, trzeba było wyzwolonemu przez się narodowi zapewnić byt na ziemi, zbudować mu trwałe dom własny. Tym obywatelem, który dzieła tego dokonał, był znowu Jerzy Waszyngton. Jako budowniczy państwa, jako mąż

stanu, włożył w swe zadanie ogrom młodzieńczej, niezmordowanej pracy, a był to przecie w owym czasie posiwiały, sterany w trudach wojennych mąż już przeszło półwieczny. Jak szybko zbiegły te krótkie, jakby jedna chwila, lata powojennego wytchnienia! Lata spędzone w stepach zachodu, dokąd udaje się Waszyngton w tym czasie i gdzie pracuje w marzeniach o wielkiem, budującym się na ziemiach tych, hen aż ku oceanowi Spokojnemu państwie.

W maju r. 1787 zbiera się, jak zwykle dotychczas, w Filadelfji nowy kongres wszystkich 13, jak w owym czasie, stanów. Przewodniczącym kongresu jednomyślnie w dn. 25 maja wybrany został Waszyngton. I w przeciągu paru miesięcy pod osobistym kierunkiem Waszyngtona zostało dokonane dzieło wiekopomne; w dn. 17 września tegoż roku ogłoszona została obowiązująca po dziś dzień konstytucja Stanów. Naród stał się państwem. Ten naród musiał mieć także swój majestat zewnętrzny, — głowę państwa i oto w dniu 4 lutego r. 1789, znów jednogłośnie, obrany został prezydentem Jerry Waszyngton. Jakże wzruszonym musiał być w dniu przysięgi, dnia 30 kwietnia tego roku, człowiek, którego „skromność dzielności się równa“. Jakiem skupieniem tchnęła jego piękna, czysta, okolona pasmami siwych włosów twarz w chwili, gdy całował po słowach przysięgi podaną sobie bibliję, gdy wargi jego szepnąć były w stanie tylko te dwa wyrazy:

— Dopomóż, Boże!

I potem ileż pracy, jakiż ogrom trudu! Czemże napełnić skarb pusty, skąd wziąć wykwalifikowanych urzędników, jak wznosić ściany tego domu, gdzie podwaliny zostały już rzucone. Ale...

Dopomógł Bóg. Już w pierwszym roku rządów, dnia 26 września zorganizowane zostały ministerstwa — czyż

dziwić się mamy, iż ministrami zostali wierni towarzysze broni, jak Knox (*Noks*) w wydziale wojny, czy młody Hamilton, który objął tekę skarbu, przyjaciele, jak Jefferson, kierownik polityki zagranicznej. Ci ludzie nie zawiedli. W r. 1791, pamiętnym dla nas ustawą majową, Waszyngton tworzy w marcu Bank Narodowy, w roku następnym dn. 5 grudnia ponownie i — jednogłośnie obrany zostaje prezydentem i dnia 4 marca r. 1793 w swą silną, doświadczoną dłoń ujmuje znów ster rządów. Rok ten pamiętny jest decyzją Waszyngtona o konieczności zachowania neutralności w wojnie Francji z Anglią. Krok ten, podyktowany ostrożnością i rozumą Waszyngtona, przyczynia się do znacznego wzmocnienia pozycji zewnętrznej Stanów Zjednoczonych. W tym czasie też Waszyngton daje się poznać światu jako nietylko prawdziwy mąż stanu, ale jako trzeźwy, przenikliwy polityk: neutralność w wojnie francusko-angielskiej ułatwia porozumienie z nieprzejednanym, zdawało się, dotychczas wrogiem, Anglią. W dniu 16 kwietnia 1794 Jay (*Dziej*), specjalny minister pełnomocny Waszyngtona, udając się do Londynu, zawiera traktat z rządem angielskim, ratyfikowany przez Senat Stanów w roku następnym. Mimo pewnej początkowej opozycji podobny traktat udaje się dnia 3 marca r. 1796 Waszyngtonowi zawrzeć z Hiszpanją.

Pokój i przymierza — oto hasła polityki Waszyngtona, a pod rozumnymi rządami tego budowniczego państwa, światłego prawodawcy i świetnego administratora Stany Zjednoczone wchodzą na drogę niesłychanie szybko rozwijającego się, kwitnącego już w pierwszych latach w całej pełni, dobrobytu.

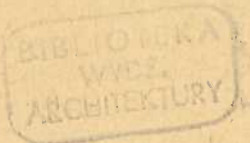
W r. 1797 dnia 28 lutego kongres proponuje Waszyngtonowi wybór ponowny. Waszyngton dziękuje. Ma przecie już lat 65, jest zmęczony, on — który przez całe ży-

cie nie znał zmęczenia. Chce odpocząć. Tak. Niedługo odpocznie już na zawsze. Prezydentem Stanów zostaje dn. 4 marca tego roku Adams.

Waszyngton jest znów w Mount Vernon. W grudniowe popołudnie, jak dobry gospodarz wrócił z objazdu folwarków. Ziąbł silnie na mroźnym wietrze. To przejdzie. To — trzeba zwyciężyć. Ale, gdy przyszła noc — sen nie pokrzepił ciała. Przeciwnie, z każdą godziną, z każdą chwilą sił było coraz mniej, tylko oddech — stawał się coraz uciążliwszy, coraz szybszy.

Jerzy Waszyngton wiedział, co go czeka. Był do końca przytomny, spokojny, kiedy w dniu 13 grudnia roku 1799 żegnał się z rodziną i domownikami. Był jak żołnierz przed bitwą...

Czekała nań nieśmiertelność.



ZAKUPIONE ZE ZBIORÓW
Ś. p. prof. M. LALEWICZA

10

